

JADWIGA MIGOWA.

PANTERKA

(Powieść współczesna).

10)

— List dla panny Łączkówny! — zawołał woźny teatralny, podając Stefce wąską białą kopertę, na której poznała charakterystyczne, energiczne pismo Chaniewskiego. Rozerwawszy kopertę, przeczytała: „Po teatrze proszę przyjść do magazynu „Madame Anna”. Tylko punktualnie. Czekam”. Podpisu nie było żadnego, a słowa te skreślono nie na bilecie wizytowym, ale na zwykłej kartce papieru, wyrwanej śnać z notatnika.

— Jaki ostrożny! wstydzi się!... nudziarz stary!...

Zawahała się, jaką dać odpowiedź. Nie miała wcale ochoty wyrzekać się wesolej zabawy i ponętnych nowych znajomości dla nudnego sam na sam z protektorem, którego zaczynała już lekceważyć. Jednak narazić mu się otwarcie nie śmiała, nie była jeszcze dość pewna swego stanowiska w teatrze, no i pieniężna pomoc Chaniewskiego, choć daleka od tego, o czym marzyła, nie była na razie do pogardzenia. Trzeba się jakoś wywinąć zręcznie...

— Czy będzie odpowiedź, proszę pani?

— Tak, w tej chwili.

Szybko napisała: „Matka jest w teatrze. Pilnuje mnie. Apsolutnie dzisiaj nie mogę. Będę jutro”. I ona się nie podpisała.

Była bardzo ze siebie zadowolona, bo Chaniewski chociaż nie uwierzy kłamstwu, nie zdoła jej niczem udowodnić, że skłamała. Nie będzie przecież tkwił przed teatrem i kontrolował, w którym towarzystwie ona wraca. Na to on jest zbyt wygodny.

Należało także odpowiedzieć i na zaproszenie Bąbla. Stefka obejrzała się na koleżanki. Strzeliła jej pewna myśl do głowy.

— Proszę pani — zwróciła się do Zośki — czyby pani nie poszła ze mną po teatrze na kolację. Będzie także kilku moich dobrze znanych. Bardzo eleganccy i bogaci ludzie. — Tamtej zaświeciły nieduże szare oczka. Uśmiechnęła się jej perspektywa zjedzenia dobrej kolacji. A może pozna tam kogoś, kto się nią zaopiekuje... Jednak ta beczelna Łączkówna może się na coś przydać!...

— Ależ chętnie!

— No to mówmy sobie tyl — zaproponowała wspaniałomyślnie Stefka, czując, że od tej chwili zyskuje sojuszniczkę.

Ucałowały się ku niezmiernemu oburzeniu czarnej Walki i drugiej chórzysiki, zwanej mamą Borzykowską, ponieważ była obarczona czworgiem dzieci i blisko pięcioma dziesiątkami lat.

— Podła ta Zośka! Bez ambycji!... Za kolację głupia ją kupiła!...

— No, niechby tak mnie zaproponowała, dałabym ja jej.

Stefka gratulowała sobie pomysłowi. Za jednym zamachem pozbyła się wroga, zyskując jednocześnie jeżeli nie wierną przyjaciółkę, to w każdym razie wygodną towarzyszkę, którą się będzie można w rozmaitych wypadkach posłużyć. A konkurencji nie zrobi jej przecież ta brzydka, zwiędła, źle ubrana dziewczyna.

* * *

W nadmiernie ogrzanej, dusznej seperatce restauracyjnej na sześć osób, oprócz Stefy Łączkówny i Zośki, którą Stefka przedstawiła jako swoją serdeczną przyjaciółkę i Bąbla, zasiadło do stołu jeszcze trzech mężczyzn: reporter Olczak, młody malarz futurystyczny z arogancką miną i monoklem w oku i szpakowaty jegomość w niesłychanie brudnym kołnierzyku, autor szeregu nigdzie nie wystawianych sztuk.

Stefka rzuciła szybko spojrzenie w stronę futurystycznego malarza, który, nie przypominając w niczem własnych artystycznych kreacji, był bardzo przystojnym i dobrze zbudowanym chłopcem, a ze specjalną uprzejmością, prawie uniżoną, podała rękę Olczakowi.

— Jakże się cieszę z poznania pana redaktora!... Pan redaktor napisze coś pewnie o dzisiejszym przedstawieniu?

— A jakże!... a jakże!... Nie zapomnimy też o nowym uroczym zjawisku!... — zapewniał Olczak, wykonując z rozmachem ukłon i mrugając jednocześnie trochę drwiąco oczyma.

Stefka rozpromieniła się, ale Zośka, obeznana trochę lepiej ze stosunkami, szepnęła jej do ucha:

— Nic mu nie wierz!... Bługuje!... To nie jest prawdziwy redaktor od teatru, ale taki od kroniki policyjnej... Jakby cię okradli, albo jakbyś pod tramwaj wpadła, to o tobie napisze...

— Nie szkodzi, ale zawsze napisać może — odrzekła Stefka, która gazet nigdy nie czytała, ale odczuwała dla nich wielki szacunek.

W stosunku do Bąbla zachowywała się poważnie, prawie sztywnie. Instynktem wyrafinowanej samicy odgadła, że metoda oporu, pełnego godności, będzie najstosowniejszą w tym wypadku. Postanowiła zagrać damę. Niechaj ten grubas wie, że nie z byle kim ma do czynienia! Ukostyumowała się też odpowiednio do tej roli. Bąbel, który miał żywo w pamięci purpurową bachanikę, ujrzał nagle przed sobą kobietę w wytwornej czarnej sukni, lekko tylko wyciętej, przybranej dystygowanymi dżetami, uczesaną skromnie i zachowującą się grzecznie, ale z wielką rezerwą. Jedynie szelmowskie zielone oczy, błyszczące silnie i przejryste tiulowe rękawy, przez które przeświecał różowy, ciepły marmur ciała, stawiły wyłom w tej twierdzy powagi i przyzwoitości.

— Jestem niesłychanie szczęśliwy, że pani zgodziła się spędzić z nami ten wieczór... niewymownie szczęśliwy. — Bąbel wpłił się gorącymi wargami w rękę Stefki, którą mu zaraz odebrała.

— Uprowadzam pana wszakże — wycedziła, sznurując usta — że to najwyżej na godzinę. Muszę wracać do domu. Mama na mnie czeka, a ona nie lubi, kiedy się spóźniam.

— Pani dobrodziejka co pozwoli na przekąskę? majonez z homara, czy łososia, a może paszteciki.

— Może być majonez — rzuciła niedbale.

— A przedtem wódeczka mocna czy likier? mają tutaj wcale niezłą starke, ale jeśli pani woli słodką...

— Dziękuję, nie używam wcale alkoholu.

— Może przecież jeden kieliszek?

— Ani kropelki!

— W takim razie wypijemy za panią — wtrącił pospiesznie Olczak — każno dyrektor podawać, bo czasu szkoda. A pani pije? — zwrócił się do Zośki.

— Ależ owszem... — zaczęła Zośka, ale Stefka pociągnęła ją nieznacznie za suknę — ja także nie piję.

Miejsce koło Stefki z jednej strony zajął Bąbel, z drugiej zaś jej sąsiadem był młody malarz, który wpatrując się w nią, coraz silniej przyciskał swój monokl. Zośkę usadowiono pomiędzy Olczakiem, a literatem w brudnym kołnierzyku.

Nastroj początkowo dzięki sztywnemu zachowaniu Stefki, grającej konsekwentnie swoją rolę, był nieco niewyraźny.

Pierwsze kolejki wódek i porcy przekąsek pochłonięto w milczeniu. Stefa uparcie wzbierała się pić i jadła również niewiele, natomiast Zośka rzuciła się na smakowite przekąski i majonezy z żarłocznością zagłodzonej. Mężczyźni wszyscy, oprócz samego fundatora, dotrzymywali jej dzielnie kroku. Stosy kanapek, artystycznie ułożonych, wabiących swym wyglądem zarówno zmysł wzroku jak i smaku, znikwały z zadziwiającą szybkością. Wódka jak gdyby wysychała.

— Państwo pozwól kołety a la milanaise, czy indyka nadziewanego? — zapytał kelner.

— Naprzód kołety, potem indyk — zdecydował Olczak, który od razu objął rolę gospodarza, dysponował, zupełnie nie pytając Bąbla o zdanie.

— A potem kompot? omiet z konfiturami? tort czekoladowy?

— Jedno, drugie i trzecie — rozporządzał się w dalszym ciągu Olczak — a do tego stary tokaj! tylko, rozumiesz pan, naprawdę stary i naprawdę tokaj, a następnie zamroziś nam pan szampan!

— Słucham, proszę pana.

— Alkohol rozwiązywał języki i pobudzał temperamenty. Małe, chytne, szare oczka Olczaka błyszczały silnie i biegały szybko to w tę, to w ową stronę. Przy dziesiątym kieliszku zaczął Stefkę całować po rękach, oświadczaając, że się zajmie jej karierą artystyczną.

— My z pani zrobimy wielką artystkę, będzie pani pierwszorzędną gwiazdą na firmamencie naszego miasta. Prasa panią poprze, a prasa to potęgą! Czy pani to rozumie?

— Rozumiem, panie redaktorze!...

— O mnie pan nie zapomni, mój złoty panie — przymilała się Zośka, która pod wpływem oparów alkoholu wyszła z pamięci, że przed chwilą lekceważyła wpływ Olczaka. A może on naprawdę coś zrobi?...

— Nie zapomnę dziewczeco chananejska!

— Ależ proszę pana, ja nie jestem wcale żydówka!...

— Nie pojmujesz mnie, oblubienico z Meksyku, brak ci wyższej, że tak powiem, kultury literackiej!...

— Oho! Olczak już zaczyna bredzić trzy po trzy...

— I ty mi to śmiesz wspominać, przedstawicielu nonsensu, blagi i braku talentu w sztuce, która nie jest sztuką...

— Tak! stanowczo nie jest sztuką mięsa, jedyną sztuką, dostępną dla twojej organizacji duchowej, referencie kradzieży kieszonkowych!... pomocniku pomocnika zastępcy młodszego reportera!...

— Panie Sternnagell prasa pana zniszczy!...

— Żeby to choć było co niszczyć!... Czyż można zniszczyć nicość? — wtrącił Brzeźkiewicz, szpakowaty, zapoznany literat, przeciwnik zagorzały najnowszych „dreszczów” w sztuce.

— Panie Brzeźkiewicz, pańskich sztuk nikt nie wystawia, a moich obrazów nikt nie kupuje, ale między nami jest wielka, nieprzebyta przepaść, bo ja burzę stare, strupieszate formy, a pan nawet się w tych starych obracać nie umiesz?

— Co! na co pan sobie pozwalasz?... Pan wiesz, kto to jest Apolinary Brzeźkiewicz? Świątości nie szargać!... — ryknął Brzeźkiewicz i rznął o stół kieliszkiem, który rozprysnął się w kawałki. Ciemnopurpurowa struga wódki popłynęła po śnieżno-białym obrusie i o mało co nie oblała seledynowej sukni Zośki. Przestraszona dziewczyna zaczęła pisać, cofając się w tył z krzesłem. Stefka zrobiła wielkie oczy:

— Waryaci, czy co?...

— Panowie! proszę o spokój! — zawołał Bąbel — nie sprzecząjcie się!... Indyk na stole!... Jesteśmy tu przecież w swoim kółku! Prasa!... literatura!... sztuka!... teatr!... Wypijemy na zgodę tokajem!...

— Brawo!... niech żyje Bąbel! — najzaciejśzy z paskarzy!...

— Mecenas i opiekun czystej formy w sztuce!...

— Przyszły dyrektor zreformowanego teatru, w którym ja moje dramaty!...

— Prasa go poprze — prasa to potęgą!...

— Niechaj mnoży swe miliony!...

— I co rychlej je z nami straci. Amen.

Krzyżowały się wykrzykniki i ręce sięgające po kieliszki. Stefa z coraz większym uszanowaniem spoglądała na Bąbla.

— On chyba naprawdę strasznie bogaty, kiedy mu tak kadzał — zadecydowała. Z pod długich, lekko wywinętych rzes pobiegło ku „najzaciejśszemu z paskarzy” spojrzenie powłóczyście. Bąbel pokraśniał i przysunął się z krzesłem bliżej swej sąsiadki, tak że ramię jego wsparło się na ramieniu dziewczyny, przeświecając różowo z pod czarnego tiulu, gorącym od młodej, niesfornej krwi!...

— Panno Stefanko! jakim ja szczęśliwy dzisiejszy!... jaki bardzo szczęśliwy!...

— I dlaczegoż to? — zapytała, udając doskonałą naiwność.

— Bo mogę panią ugościć, paść na panią, zachwycić się!... Jest pani tutaj tak blisko... blisko mnie!... — szeptał coraz namiętniej!...

— Nawet może trochę za blisko!... — oświadczyła chłodno i odsunęła się nieco od niego.

W tej chwili uczuła, że rozpalona ręka drugiego sąsiada spoczęła pod stołem na jej kolanie.

Ciało Stefki przebiegło dreszcz. Sprężyły się jędrne, twarde mięśnie. Młodemu futuryście zmętniały źrenice i monokl wypadł z oka. Pochylił się nieznacznie ku niej i drugą ręką podsuwał jej kieliszek perlącego napoju.

— Proszę pić, proszę pić koniecznie — szeptał jej do ucha, oblewając twarz gorącym od dechem.

Wypila. Ciepły, rozkoszny strumień rozplynał się po żyłach Stefki. Spłotły się jej palce z nerwowymi, gorącymi palcami malarza.

Tymczasem Bąbel przeproszał ją.

— Pani się gniewa za to, co powiedziałem? Może byłem trochę za śmiały, ale jestem zawsze szczery, taka już moja natura!... proszę się nie gniewać — czy pani się jeszcze gniewa?

(Ciąg dalszy nastąpi).